

## Rozdział 1

# DAWID

Później żałowałem, że zamiast pojechać prosto do domu, skręciłem na skrzyżowaniu w stronę remizy. Być może ominęłaby mnie ta sprawa, widok tych zmasakrowanych ciał, rozszarpanych i powyginanych we wszystkie strony. Po tym wszystkim zacząłem przeklinać tamten dzień, a raczej wieczór, jeśli mam być dokładny. Z drugiej jednak strony nie zrobiłem nic złego. Ot, znalazłem się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie... A jednak myśl o tym, co zobaczyłem, została ze mną już na zawsze. Tak po prostu.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się dokładnie wydarzyło. Nikt ze Strygowic nie wiedział.

Jechałem szybko, bo droga była prosta, z obu stron zamknięta liniami drzew.

Włosy targane podmuchami wiatru co jakiś czas przysłaniały mi oczy. Trzymany w ustach papieros dawał złudne poczucie dorosłości. Polonez warczał dźwięcznie, gdy przyspieszałem, z satysfakcją mijając

drzewa, stare znaki drogowe i wyloty leśnych dróg. Czułem się wolny. Nie, ja byłem wolny. Od roku.

Mając samochód, mogłem jechać, dokąd chciałem. Nikt nie był w stanie mi tego zabronić.

Wracając w rodzinne strony, co robiłem dosyć rzadko, zjechałem w kierunku Mokoszy, małej miejscowości leżącej tuż pod miastem, oddalonej o mniej niż cztery kilometry od znaku wyznaczającego kraniec przedmieścia. Lubiłem tę szosę. Przypominała tunel, zwłaszcza teraz, latem, kiedy bujne korony drzew stykały się ze sobą w kilku miejscach. Nocą prawie nikt tędy nie jeździł, poza grupami nastolatków zmierzającymi na dyskotekę. Niektórzy szli pieszo. Czasami zdarzało się, że ktoś kogoś potrącił. Kiedy nie świecił księżyc, było tu naprawdę ciemno.

Dopaliwszy ćmika, wyrzuciłem go przez uchylone okno. Już miałem sięgnąć do radia, by je podgłośnić, kiedy nagle blade światło błysnęło mi z oddali prosto w oczy. Szybko zorientowałem się, że to latarka – i nie myliłem się. Ściągnąłem nogę z gazu. Po chwili minąłem grupę roześmianych dziewcząt. Uśmiechnąłem się do nich przelotnie. Wiedziałem, że nie należę do tych szarmanckich kolesi, umiejących szczerzyć się jak faceci z okładek „Bravo”, ale widząc, jak śledzą wzrokiem mijający je samochód, nie chciałem pozostać im dłużny.

W końcu zobaczyłem remizę w Mokoszach, prosty budynek z odpadającym tynkiem i dwuspadowym czerwonym dachem, z którego okien błyskały kolorowe światła, rozproszone przez przykurzone firany.

Zjechałem z drogi prosto na udeptany trawnik, zakręciłem kierownicą i zaparkowałem prostopadłe do innych samochodów, ustawionych we względny porządku tuż przy rowie. Zgasilem światła i silnik. Jeszcze siedząc w wozie, widziałem zbliżające się postacie. Nie byli to moi kumple, bo tych nigdy nie miałem, bardziej znajomi, z którymi mijałem się na szkolnych korytarzach. Ten, który odezwał się jako pierwszy, był mi chyba z nich wszystkich najbliższy.

– No proszę, cesarz przyjechał odwiedzić prowincję.

Wypił. Najpierw usłyszałem to w jego głosie, później dostrzegłem trzymaną w dłoni butelkę jabola. Towarzyszacy mu kumple oparli się o mój samochód.

– Siemasz, stary, jak leci? – odpowiedziałem, zgrywając luzaka. W rzeczywistości nie lubiłem sytuacji, gdy ktoś mi się przygląda. – Widzę, że melanż się rozkręca – dodałem, wysiadając. Nie mogłem szeroko otworzyć drzwi, by przypadkiem nie uderzyć kogoś z tych koleś. Było ich kilku. Znałem ich twarze, ale nie imiona, poza Erykiem, który spoglądał na mnie tak, jakbym był mu coś dłużny.

– Przyjechałeś się tu lansować? – Jego pytanie zawisło w powietrzu. Ciszę na moment wypełnił refren piosenki *The Rhythm of the Night*.

Zauważyłem, że jest nieco podenerwowany. Miesiąc wcześniej on i jego kumple z technikum pisali maturę. Teraz pewnie wszyscy czekali na wezwanie do wojska.

– Chodzi o samochód? A co, miałem tu przyjechać hulajnogą czy na składaku? – odparłem zuchwale, widząc, jak jeden z tych gości przygląda się rdzy na błotniku.

– Który to rocznik? – zapytał, a ja odetchnąłem w duchu, mając nadzieję, że konfrontacja z pijanym Erykiem nie dojdzie do skutku.

– Osiemdziesiąty ósmy, silnik jeden-sześć benzyna.

– Biały. Rdzę będzie widać – bąknął ten sam koleś. – O, tu już widzę.

Ściągnąłem wargi z niezadowoleniem. Już chciałem mu powiedzieć, żeby spieprzał, ale nie mogłem. Dopiero co przyjechałem.

– No trudno – westchnąłem. – To się wylakieruje, co nie?

Nie doczekałem się odpowiedzi. Eryk zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Fajki mam. Ruskie. Kuzyn tirem przewiózł. Chcesz kupić?

– Dzięki, ale mam swoje.

– Nie spróbujesz nawet?

– Wiesz co, może później.

Spodziewałem się, że będzie naciskał, ale ku mojemu zdziwieniu Eryk odpuścił i dał mi przejść. Jego koledzy z kolei przestali już badać moje auto. Nareszcie.

„Obok stoją inne, dlaczego wybrali akurat moje?”

Przestałem zastanawiać się nad tym faktem, choć głupio mi było odwracać się plecami, wiedząc, że wciąż kręcą się po tym prowizorycznym parkingu.

Odetchnąłem nieco i podszedłem do remizy. Powitały mnie kolejne znajome twarze, kilku chłopaków i kilka dziewczyn z równoległej klasy. Potem minąłem Zośkę z mojej. Przelotne spotkanie zaowocowało krótką wymianą zdań.

– Cześć, Dawid! Jak tam na polibudzie? – zapytała z uśmiechem. Dobrze pamiętałem te jej krzywe zęby. Zawsze dziwiłem się, że ma gdzieś, czy inni zwrócą na nie uwagę.

– Wporzo – odpowiedziałem. Była tą dziewczyną, którą niewielu rówieśników się interesowało, ale każdy przychylnie reagował na jej widok. Mnie zawsze było jej żal i trochę dziwiłem się, że przyszła na dyskotekę.

Ta chwila ciszy wydała mi się krępująca.

„Co jeszcze mam jej powiedzieć?”

Zośka nie pochodziła z najbiedniejszej rodziny. Zresztą studia były przecież darmowe, jeśliby nie brać pod uwagę kosztów wynajmu akademika. Może po prostu dalsza edukacja nie była dla niej. Mało kto wyjeżdżał ze Strygowic. Ja byłem jednym z nielicznych, którzy rzucili się na głęboką wodę.

„Pewnie dlatego wszyscy tutaj patrzą na mnie z ukosa”.

Nie dość, że przyjechałem własnym autem, to jeszcze prosto z dużego miasta. W tych stronach faktycznie musiało to być coś niezwykłego.

Zbliżyłem się do budynku, a muzyka, która do tej pory przyjemnie wypełniała nocną rzeczywistość, teraz zaczęła mocniej dudnić mi w uszach. Koniec szkoły warto było hucznie poświętować... Ale przyszli tu nie tylko uczniowie z liceum i technikum – moi rówieśnicy również, a także starsi, dwudziestoparolatkwie chętni wyrwać nastolatki.

Przeczesałem opadające na czoło włosy, po czym wsadziłem palce w kieszenie jeansów. Miałem

nadzieję, że ktoś mnie rozpozna. Faktyczny znajomy, a nie ktoś taki jak Eryk. Być może miałem szczęście, a być może pecha, kiedy przed oczami znowu ujrzałem krzywozębną Zośkę.

– Czekasz na kogoś? – zapytała otwarcie. W dłoni trzymała zieloną butelkę z piwem. Nie wiedziałem, skąd ją wytrzasnęła.

– I tak, i nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Nie wiedziałem, po co tu dzisiaj przyjechałem. Chyba tylko po to, by poczuć więź z rodzinnym miastem. – Widziałaś... Widziałaś może Izę?

Dlaczego o niej wspomniałem? Byłem prawie pewien, że jej tu nie ma.

– W sensie Warecką? – zapytała po chwili wahania. – Nie, no coś ty... To chyba nie jej klimaty, nie? Ale wiesz co... Kaśka o ciebie pytała.

– S-serio?

– No tak. Chyba nadal się w tobie buja... Słyszałam, jak mówiła coś o tobie koleżance, która wychodziła zapalić. Może już wie, że tu jesteś.

– Może. – Zmarszczyłem brwi z zażenowania. – A tak zmieniając temat... Co u ciebie słyhać?

„Z krótkiej rozmowy w długą. Z deszczu pod rynnę, ty durniu”.

– A wiesz, jak to ja...

„No właśnie nie wiem, bo nigdy mnie nie obchodziła”.

Zacisnąłem usta w kreskę, czekając, aż zacznie kontynuować.

– Zrobiłam sobie rok przerwy, bo nie wiedziałam, jakie studia wybrać. Myślałam o pedagogice albo psychologii...

„A jednak być może będzie kolejną, która wyrwie się z tej dziury”.

– To zajebicie – odpowiedziałem zbyt pogardliwie, przez co szybko dodałem: – Fajnie, wiesz, liczę, że się dostaniesz. Serio.

– To pewnie będzie uniwersytet – ciągnęła, a ja czułem, że tracę cierpliwość. – Jak to jest studiować?

– Hmm... Co by tu powiedzieć... – mówiłem, przeciągając głoski i wodząc wzrokiem po mijających nas ludziach. – Nie będę cię wkręcał: raz jest lepiej, raz gorzej. Sporo zakuwania, ale przynajmniej ogarniasz to, co chcesz, a nie jak w budzie...

– No tak, tak – przytaknęła nieco speszona.

– Myślę, że podobnie będzie na uniwerku – dodałem, poprawiając kołnierzyk jeansowej kurtki.

„Może to jej wystarczy i sobie pójdzie. Nic do niej nie mam, ale to tylko koleżanka z byłej klasy”.

Nic bardziej mylnego. Zośka uśmiechnęła się kąciakiem ust, łyknęła trochę Warki Strong i zadała kolejne pytanie, które jeszcze mocniej zbiło mnie z tropu:

– Lecimy na parkiet? Skoro i tak na nikogo nie czekasz...

Nie wiedziałem, skąd się u niej wzięła ta śmiałość. Zapamiętałem ją jako szarą myszkę z drugiej ławki. Czy przez rok aż tak bardzo mogła się zmienić? Czym jeszcze zaskoczy mnie powrót w rodzinne strony?

Pytanie zawisło w powietrzu. Przypomniałem sobie o nim, gdy spojrzałem Zośce w oczy. Te miała akurat dosyć ładne. Dodawały uroku na tyle, że przynajmniej nie nazywali jej brzydulą.

„Pewnie nikt jej tego nigdy nie powiedział, ale musiała coś podejrzewać. Nigdy nie widziałem jej z żadnym chłopakiem”.

Wpadłem jak śliwka w kompot, choć, jakby rzekł mój dziadek, raczej nawarzyłem sobie piwa, które teraz musiałem wypić. Byłem za miękki w tych sprawach. Zbyt łatwo łąpałem z ludźmi kontakt wzrokowy. Zwykle nie z tymi, co trzeba.

– No co tak stoisz? Idziemy? – Jej słowa otrzeźwiły mnie bardziej niż chwilowy powiew wiatru znad pobliskiego lasu. Noc była ciepła i gwiazdzista.

Kiedy Zośka usłyszała w końcu głośne: „What is love?” z piosenki Haddawaya, otworzyła szeroko usta z ekscytacją. Stojące obok dziewczyny zapiszczały, odstawiły niedopite piwa na parapet i ruszyły jedna za drugą w kierunku drzwi.

„Gorzej być nie mogło”.

Nie mogłem się wywinąć. Zośka chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę wejścia. Gwałtownie wpadłem z nią do środka. W sali było gorąco, przy podłodze unosiła się para. Kolorowe światła błyskały po ścianach. Miałem wrażenie, że deski remizy płoną, ale z jakiegoś powodu nikt ich nie gasi. Dyskoteka rozkręciła się na dobre za sprawą kilku topowych utworów zagranych jeden po drugim.